

Porzeczkowy Josef

Anna Wiśniewska - Grabarczyk

Porzeczkowy Josef



Wydawnictwo ANAGRAM

Warszawa 2018

Okładka:

Na fotografii babcia autorki, Józefa W.
(z rodzinnego archiwum)

Opracowanie graficzno-techniczne:

Wanda Mierzejewska

wanda.mierzejewska@interia.pl

Korekta:

Katarzyna Kusojć


Książka ukazuje się dzięki dofinansowaniu
Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego.



Autorka i Wydawca serdecznie dziękują.

© Copyright by Wydawnictwo ANAGRAM
and Anna Wiśniewska-Grabarczyk, Warszawa 2018

ISBN 978-83-65554-28-4

 Wydawnictwo ANAGRAM

Księgarnia internetowa

www.anagram.com.pl

e-mail: anagram@adres.pl

1.

Moja babcia umarła na schodach. Było lato, upalny lipiec wisiał nad Trzcianką niczym leniwe gałęzie wiśni nad ławeczką w ogrodzie dziadków. Ciało znaleziono przed południem.

* * *

Schody składały się z dużych, żółtych stopni. Moim ulubionym był ten, który skręcał pierwszy – stopień numer trzy. Niemiec, pierwszy właściciel domu, który piął schody w górę, coś źle wyliczył i stanęło na tym, że cała pokręcona istota drogi w górę i w dół osadzona była niemal wyłącznie na biednej trójce. Dzięki temu stopień był niezwykle szerokości i wystarczał na siedzisko dla dwóch kuzynek z co najmniej dwiema lalkami.

Można nas było spotkać bardzo często w tej części domu, mimo upomnień rodziców i babci:

- Nie siedźcie na schodach, przeszkadzacie!
- Dziewczynki, znowu nie ma jak przejść!
- Ile razy prosiłam, no już, zmykajcie stąd!

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek ktoś rzeczywiście zrobił sobie krzywdę przez nasz samozwańczy plac zabaw. Trudno podejrzewać, by babcia była pierwszą ofiarą samowolki budowlanej, bo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim nie bawiłam się już lalkami. Faktem jest, że postanowiła umrzeć właśnie na trzecim stopniu swoich poniemieckich schodów. Oczywiście nie zmieściła się cała na biednej trójce, zmieścił się korpus i lewa noga, reszta ciała – ręce i prawa noga – oparła się bezwładnie o sąsiednie stopnie.

Jestem bardzo ciekawa, dlaczego w środku nocy Józefa W. wyszła z ciepłutkiego łóżka i co takiego się wydarzyło, że skończyła tę cichą eskapadę właśnie na schodach, na których znaleziono ją następnego przedpołudnia. Czy to one były celem tej zagadkowej łązugi, czy jedynie środkiem? Niezależnie od tego, czy uda się kiedykolwiek dojść przyczyny, schodzącej wieczorem dwudziestego piątego lipca coś zadało śmiertelny cios. Moim zdaniem nie mogło to być serce (choć było w złym stanie), ale Josef, który od dawna naprzykrzał się starszej pani, pozwalając sobie na bardzo dużo, szczególnie gdy w pobliżu zabrakło mnie albo N'kulu. A właśnie wakacje *anno Domini* tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa naznaczone były moją częstszą niż dotychczas nieobecnością u babci. Tamtoroczne lato było bardzo szczególne i dla babci – dla której okazało się być ostatnim, i dla mnie – dla której okazało się być pod wieloma względami pierwszym. Nie przypuszczam, by moja nieobecność była jedyną przyczyną śmierci babci – choć nie uciekam od konsekwencji. Wydaje się zasadne przyjąć, że to Josef był ostatecznym powodem – sądzę, że właśnie tamtej feralnej nocy babcia wystraszyła się Niemca na amen. Tak czy inaczej, półwiecze z przymusowym lokatorem to nadzwyczaj dobry wynik, a właśnie tyle czasu przyszło babci spędzić w obecności intruza.

Poznali się w Bergen-Belsen, dzięki czemu po kilkadziesiąt lat od pierwszego spotkania babcia kupiła sobie kolorowy telewizor (zasłużyła na niego dwunastoma klapsami w wychudły obozowy tyłek). Ja poznałam Josefa w czerwcu przy porzeczkach. Wychylił się znienacka, zupełnie nieoczekiwanie, przez co momentalnie zlałam się nieprzyjemnym potem. Mężczyzna podszedł do krzaka i zjadł kilka kuleczek, łypiąc to na porzeczkę, to na mnie. Czułam, że cała jestem mokra, że koszulka nabiera wody i każdym skrawkiem

przywiera do mnie – byleby dalej od intruza. Słońce świeciło z lewej strony, a Josef z prawej – nie miałam dokąd uciec, dlatego zaczęłam połykać białe i czerwone owoce szybciej niż kiedykolwiek, tak jakby obranie całego zielonokrzewu z bombkowych kulek miało coś zmienić w moim położeniu. Josef z pewnością wyczuł zdenerwowanie, bo zaczął śmieiej sięgać po porzeczeki, z każdym kęsem robiąc krok w moim kierunku.

Nasze ręce obracały krzak niecierpliwie, ale zwinnie. Do momentu, gdy łapa intruza nie stanęła między mną a rośliną, a z ust byłego komendanta nie wydostało się coś na kształt skowytu, cichego, lecz jednak nieprzyjemnego. Spojrzałam w prawo i zobaczyłam, że mężczyzna zaczepił o gałązkę związającym mu z szyi sznurem. Powróż widocznie ranął skórę, bo czerwony obwarzanek wokół karku miał kilka zabliznionych śladów i pokąźną liczbę świeżych ran (co dawało się poznać po intensywności koloru). Sznur był solidny, ale krótki, kończył się gdzieś w okolicy mostka. Zachłanność i nachalność Niemca zostały ukarane, gdyż przy próbie zerwania kiści najdorzodniejszych i najtłustszych porzeczek, wygięty do granic możliwości, zahaczył o krzew i pozwolił, by powróż napiął się do ostateczności, zatrzymując go w niewygodnej pozycji – stał tak, nienaturalnie złamany w biodrach, w wymuszonym półukłonie. Próby samodzielnego oswobodzenia się z porzeczkowego uścisku nie przyniosły pożądanych efektów, szarpiąc się, mężczyzna jedynie skracał dystans od siebie do krzaka. Po krótkiej pauzie znowu przyszło kilka bardziej zamasyzowanych ruchów, lecz gdy i one nic nie dały, Josef przeszył mnie na wskroś i wskazał na sznur.

„Powinna być uwolnić człowieka” – przeszło mi przez myśl, gdy już siedziałam zanurzona w babcinym fotelu, ale tego nie zrobiłam.

Po części dlatego, że odepchnął mnie jego zapach. Josef miał wielką plamę moczu w kroku. Na nic zdał się mundur Hugo Bossa i wpięte w niego epolety. Mocz jest mocz, z moczem nie wygrasz. Złapałam kilka porzeczek i nieco odwagi i pobiegłam do domu. Babcia już przygotowywała śledzie. Śledzie, mocz, porzeczeki – zrobiło mi się niedobrze. Przytuliłam się do fartucha, fartuch przykleił się do kolistego brzucha babci i został tak ze mną przez kilka dni.

* * *

W końcu zdecydowałyśmy się ruszyć. Słońce przecinało nas pod każdym kątem. Nic już nie widziałam, wypaliło i babcię, i oczy. Przystawiliśmy salaterki z zewnętrznego, blaszano-rdzawego parapetu na szerszy wewnętrzny, ciągnący się wzdłuż całej werandy. Jednak żadnej z nas nie chciało się przestawić stołu – babci, bo była za sędziwa na taniec z meblem, mnie, bo byłam leniwa po babci. Wszystko, co na stole, musiało jakoś sobie radzić ze spiekotą, podczas gdy my przesunęłyśmy krzesła na tyle, że mogłyśmy schronić się w cieniu, wystawiając na żar jedynie blade nogi. Miałyśmy tak siedzieć do wieczora, a może i do nocy, ale słońcu nie wyszedł plan spalania nas – zachciało mi się siku. Splotłam nogi i tak wytrzymałam przez chwilę. Napór jednak był coraz mocniejszy. Jeszcze bardziej splotłam nogi, zawijając prawą stopę na lewą łydce. Czułam, jak pulsuje mi okolica sikania.

– Jest bardzo miło, babciu – powiedziałam na zachętę, bardziej do siebie niż do babci, ostatkiem płuc siedzącej w szczerym słońcu, które zdążyło już wdrapać się wyżej, po samą szyję, i zaczęło przypuszczać atak na głowę staruszki.

– Ciepło – leniwie odpowiedziała żółta babcia.

Przez chwilę pozostawałam obojętna na wstydlivy dyskomfort ciała, ale w końcu skapitulowałam.

„Tak czy siak, słońce czy siku”, pomyślałam, zła, że natura zawsze wygrywa.

Przeszłam przez chłodny korytarz i usiadłam. Zimna deska objęła mi pupę. Położyłam głowę na wannie, ręce zwiślały mi do samej posadzki. Uniosłam się na nich i widziałam strumyczek.

I wtedy przypomniałam sobie o pączkach. Nie należało ich zostawiać zbyt długo na słońcu, ponieważ lukier zamieniał się we flegmistą, nieapetyczną maź.

– Gdzie ręcznik? – Rozglądałam się dokoła, bo woda kapiała mi z palców na kafelki.

Nie znalazłszy niczego, w co mogłabym wytrzeć ręce, dokręciłam kurek z całych sił (uszczelka pracowała już na ostatni gwizdek) i wytarłam dłonie w dżinsowe spodenki, klepiąc się po udach i pośladkach. Szybko zakradłam się do pączków, które już prawie roztopiły się w upale, ponieważ babcia zupełnie o nich zapomniała i zostawiała stół z jedzeniem na pastwę popołudniowego skwaru. Uratowałam ciastka i poszłam na górę. Kątem oka zauważyłam siedemdziesięcioletnie nogi babci wyłożone na wersalce, ale moją uwagę przykuł hałas dochodzący ze strychu. Uważając, by talerzyk ze słodkościami trzymał się prosto, zajrzałam do środka i zobaczyłam Josefa stojącego na baczność przed małym stryżkowym oknem. Wiedział, że nie powinno go tu być (spuścił ramiona, skurczył szyję i próbował schować łeb) – prawdą jest, że przymusową gościnę wywalczył sobie kilka lat wcześniej, ale tylko na czas naprawdę niesprzyjających okoliczności przyrody; dzisiejszy dzień nijak nie pozwalał na korzystanie ze strychu. Ponadto w ostatnim czasie kilkakrotnie zdarzyło się, że Josef zabrudził Franię, prezent ślubny babci (to, że sprzął od dawna nie

pełnił właściwej sobie funkcji użytkowej, nie powinno być żadnym usprawiedliwieniem dla zachowania mężczyzny), dlatego ograniczanie jego obecności w domu było jak najbardziej uzasadnione. Przygarbiona sylwetka nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia – podeszłam pewnie, trzepnęłam Niemca w ucho, talerz z pączkami trzymając z dala od natręta. Rozległ się donośny skowyt (niewspółmierny do zadanego szturchańca), po którym spokojnie, lecz stanowczo wskazałam na schody i patrzyłam, jak nazista bierze po trzy stopnie, kierując się na dwór.

- Takie tam sympatyczne szturchańce to uczciwe zachowanie za znoszenie intruza na strychu – niejednokrotnie starałam się przekonać babcię, która i tak wiedziała swoje.

Rzadko rozmawialiśmy o Josefie. Nie zniósłabym przyłapania babci na kłamstwie, a znając jej dobre serce i szczerą praktykę wybielania nawet najgorszych przewin u najgorszych ludzi, spodziewałam się wielu niekonsekwencji w jej opowieściach. Dlatego nigdy nie zapytałam, jaki Josef był w obozie: czy kręcił dobre pączki, czy sam wybierał słodkie nadzienie, a może sprawę wypełnienia zostawiał robotnicom; czy wolał pączki z różą, czy ze śliwką; jak wyglądał, wymierzając razy w coraz bardziej spuchnięty babciny tyłek.

- Babciu, niemieckie pączki różnią się od naszych? – powinnam była zapytać, ale nie zdążyłam.

Jak daleko sięgam pamięcią, te nasze rozmowy o Niemcu charakteryzował duży nieład. Z perspektywy czasu powinny się one ułożyć w jakąś spójną całość, ale rozłążą się, nie zdradzając ani zakończenia, ani początku, środek też pozostawiając do wypełnienia.

Na przestrzeni tych kilkunastu lat, jakie spędziłam z moją kochaną babcią, zdarzało mi się usłyszeć:

- To nie ten sam człowiek. - A ja nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle.

Parę razy odniosłam wrażenie, że babcia próbuje opowiedzieć spójną historię, że jest chętna do podzielenia się ze mną każdą przeżytą minutą. Lecz w ostatnim momencie język odmawiał posłuszeństwa, a usta, zamiast opowiadać, zaciskały się, pozostawiając na twarzy nieprzyjemny grymas. Ostatecznie babcia nigdy nie wyszła poza zdawkowe „to nie ten sam człowiek, Anusiu”, zupełnie nie przejmując się tym, że trudno z jednego zdania odtworzyć kompletny obraz.

2.

Krzew siedział na kolanach babci i gryził krwisty kawał kotleta wyrosły na jej fartuchu. Artysta plastyk, pomysłodawca fartuchowych ozdób, byłby dumny ze swego dzieła, widząc, jak pies wierzy w prawdziwość fartuchowego mięsa. Gdyby się rozłożyło babcię na plecach, z rękoma wyciągniętymi na boki, na jej kolistym brzuchu widniałaby drewniana deska ze sztuką mięsa. Artysta plastyk był sprytny, znał nieoczywistość nowej sztuki, bo nie włożył noża pędzącego przez schab w konkretną dłoń. Nóż przecinał schab w połowie siłą swojej nożowości - był nożem i nie mógł inaczej, żadna ręka nie była potrzebna do prowadzenia noża (gdy się mówi, że za każdym nożem stoi jakaś ręka, mówi się bzdury).

Podniosłam babcię z pleców (nieładnie, żeby tak leżała, nawet jedynie jako wyobrażony podmiot) i przywróciłam naturalny stan podwórka: krzesło na piaskowym podłożu, babcia na krześle. Krzew na babci. Spędziłam na ulicy Księdza Józefa Baki trzy leniwe dni, które kręciły się wokół odbywających się mistrzostw świata w lekkiej atletyce. Wstawaliśmy

tylko po to, by wieczorem zasiąść przed telewizorem. Mimo tego przejrzystego rozkładu dnia każdy poranek zaczynałyśmy od snucia propozycji na interesujące spędzenie czasu, jak gdyby wspólne oczekiwanie na stadionowe emocje było niewystarczająco atrakcyjną czynnością albo raczej praktyką domagającą się jakiegoś głębszego usprawiedliwienia. Dlatego zawsze rano, gdy schodziłam do kuchni, planowałyśmy dzień – przekonane, że spora część z tego, co się dzieje, zależała od nas, a zależało bardzo mało.

– Co dzisiaj robimy, babciu? – zapytałam, sięgając po notes, i czekałam na wskazówki.

Babcia zaczęła od kilku ogólnych uwag (że wakacje, że czas pędzi, że ani się obrócisz, a tu już zima) i paru szczegółowych (że kisiel dobrze byłoby zrobić, że Krzew przytył), które nie ułożyły się w żaden spójny plan – poza kisielem, który rzeczywiście towarzyszył nam przy biegach przez płotki, mało w tym było konkretów. Na koniec zaproponowała wyjście nad jezioro, choć po tylu latach nie jestem pewna, czy nie wspominała też o pozostaniu w domu.

– Dziś jest za gorąco, żeby iść nad jezioro – mogła była powiedzieć.

Na kilkanaście minut zapadła błoga cisza. Krzew już od dłuższego czasu spał, zmęczony szarpaniną z oszukańczym kotлетem, gdy babcia powitała kogoś stojącego za moimi plecami przeciągłym:

– Dzieeeeeń doooooobry.

Z rozkoszą wbiłam stopy w brzeg parapetu (lubiłam, jak nieregularny kant surowej cegły przecinał mi stopy w pół), odchyliłam głowę i zatrzymałam grdykę, by nie łaźła w górę i w dół. Manewrowałam krzesłem tak, by nie wywinąć kozła, i gdy już złapałam bezpieczny balans, moim oczom ukazała

się duża Murzynka. Stała przede mną do góry nogami. Z grdyką napiętą na młodej jeszcze skórze wybełkotałam:

– Dzień dobry.

Czarna kobieta uśmiechnęła się i zapytała, co podać. Babcia na mnie, ja na babcię.

– Bułkę na mleku – odpowiedziałyśmy jednocześnie.

Murzynka odkołysała się do kuchni, przygotowała trzy kubki i przykołysawszy z powrotem, siadła przy nas. Była bardzo duża i bardzo ciemna, tylko mleko i zęby miała białe.

– To moja wnuczka – przedstawiła mnie babcia.

Trudno wyjaśnić, dlaczego z taką łatwością przystałam na obecność bądź co bądź zupełnie mi nieznaney osoby na babcinym podwórku oraz dlaczego poprosiłam tę całkiem obcą kobietę właśnie o bułkę na mleku. Po tym, jak świetnie znała rozkład domu i sprzętów w kuchni, domyśliłam się, że albo jest częstym, albo stałym gościem u babci. Krążących po mieście informacji o tym, jakoby „pierwszy Murzyn wprowadził się do Trzcianki w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym”, nikt nigdy nie sprostował. Faktem jest, że w moim życiu mlecznozębna N'kulu pojawiła się właśnie tamtego popołudnia, przyrządziwszy niemal tak dobrą bułkę na mleku, jaką przyrządzała Józefa W.

Dopiero po paru tygodniach od tamtego spotkania zdałam sobie sprawę, że N'kulu jest bardzo podobna do mojej czarnoskórej lali z dzieciństwa. Trudno podejrzewać, by miała jakkolwiek związek z plastikową zabawką, ale – nie znalazłszy lepszego wytłumaczenia – tym właśnie podobieństwem tłumaczyłam jej zwyczajowe poleganie na trzecim stopniu poniemieckich schodów.

Po bułce na mleku dzień minął nam na szykowaniu się do wyjścia nad jezioro (co ostatecznie nie nastąpiło), potem był obiad i odpoczynek, i znowu bułka na mleku.

- Bardzo smaczne, bardzo... psychota – powiedziała babcia, odstawiając społemowski kubek na parapecie. – No, to jutro popływamy, prawda? – Spojrzała na mnie pytająco, nie próbując nawet ukryć uśmiechu.

- Yhmm – odpowiedziałam w podobnym tonie. – Pewnie się uda.

Zegar w kuchni wskazywał za pięć siódma.

- No to sprint. Za pięć minut się zaczyna, babciu.

- Tak! – krzyknęła babcia i podbiegła do telewizora.

N'kulu weszła z nami na górę, ale dała się namówić jedynie na rozgrzewkę (sto metrów kobiet, osiem zawodniczek, siedem państw). O dwudziestej już leżałyśmy z babcią w łóżku, komentując wszystkie stadionowe poczynania. Kilka razy ekscytacja brała górę i wśród nocnej ciszy dało się słyszeć rozchichotane lub wzburzone okrzyki, które z pewnością musiały docierać i do śpiącego na strychu Josefa (wśliznął się, łajza, ukradkiem), i do krzątającej się po domu N'kulu (która za dwie godziny wejdzie z trzema salaterkami zielonego kisielu).

* * *

Babcia odbierała mnie ze szkoły w co drugą środę. Ojciec regularnie o tym zapominał i oboje w okolicach godziny trzynastej pędzili po ukochaną wnuczkę i córkę. Jedyny raz, kiedy ojciec się nie zjawił, to dzień, w którym zmarł.

- Zły dzień sobie wybrał, zły – usłyszałam w trakcie uroczystości pogrzebowych. – W środę było naprawdę bardzo ładnie, dużo słońca i żadnej chmurki. W taki upał nie wolno chodzić poboczami, nie wolno.

Możliwe, że ze względu na pogodę właśnie tamtego fatalnego dnia nikt nie usłyszał dogorywającego ojca. Żar lał się na poniemiecką cegłę bez żadnej wyrozumiałości. Przy normalnej temperaturze krzyk przebiłby się przez ściany trzciańskich domków, ale owego smutnego przedpołudnia było za gorąco, by mury przepuściły wołanie o pomoc. Topografia też nie sprzyjała konaniu przy kutlofie, który stał w bezpiecznej odległości od najważniejszych punktów w mieście, tak by nie zakłócać dobrego samopoczucia mieszkańców.

Mojej winy w nieudzieleniu pomocy nie ma żadnej, gdyż jedyne liceum ogólnokształcące w Trzciance, w którym przebywałam w trakcie wiadomego konania, było oddalone od kutlofa o kilkadziesiąt poniemieckich domków. Budynek stał na niewielkim wzniesieniu, co powodowało, że jako pierwszy stawał w płomieniach, poddając się terrorowi patrzącego na Trzciankę słońca.

Czerwiec tamtego roku dał się we znaki przede wszystkim babci i licealnej poniemieckiej cegle, ojca ogrywając do zera. Lato dopiero się zaczynało, ale niemiłosierny żar zmienił kolejność wydarzeń i przed właściwym początkiem dało się zauważyć przedsmak rychłego końca wielu rzeczy.

Jestem święcie przekonana, że ojciec natknął się na krowobicie i dlatego zmarł. Mimo znalezienia go w okolicach kutlofa, z roztrzaskaną głową i dużym frasunkiem na buzi, nikt nie podzielał mojego przypuszczenia. Zdecydowano, że to serce zadało mężczyźnie śmiertelny cios.

3.

Przez pierwszych kilka zim babcia wpuszczala Josefa jedynie na noc. Jedenastego grudnia tysiac dziewięćset czterdziestego ósmego sztywny mundur wypełniony zsiniałym i skostniałym nazistą stanął przed oknem kuchennym po raz pierwszy. Babcia kończyła wyrabiać ciasto, obserwując, jak pierwsze gile zlatują do świeżo powieszanej słoniny. Dziadek raczył żonę informacjami z terenu, gdyż kończył codzienną lekturę „Głosu Wielkopolskiego” – rozłożony na kuchennym taborecie, tyłem do okna, nie był świadom obecności ani giłó, ani Niemca, który w tym właśnie momencie wyłonił się z głębi ogrodu. Gospodyni od razu rozpoznała Josefa i przewidując grozę tej niespodziewanej wizyty, czym prędzej wyszła do piwnicy po słoik grzybków (który nijak się miał do przygotowywanych na kolację naleśników, czego oczywiście mój dziadek nie zauważył).

– Skończyły się? – dało się słyszeć za babcią, która jednak nie odpowiedziała, gdyż była już na piętrze, ciągnąc Niemca w kierunku strychu.

– Ciiii... – wyszeptala do gościa, zamykając drzwi na skobel.

– Jak tak dalej pójdzie, do lutego nic nie zostanie. Znikają, że ho – powiedział dziadek, gdy babcia wróciła do kuchni.

– Co?

– Grzybki.

– Aaa, grzybki... – Tym razem żona rzeczywiście zesłała do piwnicy, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.

Od tamtego dnia sprawy toczyły się zgodnie z ustalonym rytmem. W okolicach godziny siódmej babcia przygotowywała kolację, a Josef wślizgiwał się, pod jej niemą eskortą, do domu, kierując się wprost na strych. Nigdy nie zdarzyło się,

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

